

Tomasz Kozak

Prozatorski przyczynek

do TEORII PROJEKTOWANIA INSTYTUCJONALNEGO

Słońce, z każdym sezonem wścieklejsze, wciąż jeszcze maskowało swoją wściekłość – podobnie jak ludowe junty, które ściemniały, że pogoda będzie łaskawa nie tylko dla bogaczy. Być może dlatego coraz dłuższe sezony letnie kojarzyły się wyrobnikom z wydłużonymi wakacjami. Tyrali w pocie grzbietów, a w czasie wolnym tłoczyli się w solariach: pod kwarcówkami obietnic emitowanych przez Radę Ministrów – i kochali ciepłko. Poziom Wisły tymczasem opadał, a pustynia rosła wraz z liczbą zatrutych studni. Wolności było coraz mniej, uwalniały się za to feromony parujące wraz z potem Silnej Ręki. Mimo to krótkie ochłodzenia niekiedy przynosiły ulgę; czasem coś pokropiło; gdzieś zakwitły oazy: nie każda jak fatamorgana.

W środku sierpnia wymknęłam się ze swojej kawalerki. Osiedlowy parking majaczył tuż pod blokiem, w parczku wysuszonym na wiór, pośród beżowych trawników golonych na zapałkę. Gdy podchodziłam do garbusa, odziedziczonego po matce, podmuch podgrzewanego wiatru, zalatujący rurą wydechową, cisnął mi w twarz przedwojenną gazetę. Papier zbrunatniał od gorąca jak czoło mojej babki, nagłówek zaś głosił: PRAWDZIWE ŻYCIE JEST W BUSIE DO LUBLINA – anonsując wywiad z popularną ongiś pisarką, zauroczoną wigorem ludu. Przypomniałam sobie, że zanim wytysiała, dane jej było posmakować jednej z życiowych prawd. Pewnej niedzieli na dworcu PKS w Janowie spotkała kilku treserów z podlaskiej stadniny. Podchmieleni spalinami, zaferowali jej kwartę benzyny, a kiedy wzgardziła poczęstunkiem, postanowili ją ujeździć... Gazeta cuchnęła jak spocony knebel; odkleiłam papier od ust, zmięłam ze złością i cisnęłam w kałużę migoczącą pod kołami volkswagena. Bryka była wiekowa, ale ciągle sprężona do skoku; zawsze, gdy odpalałam ją z pilota, jej przednie światła jarzyły się jak ślepie wilczycy – mówiłam więc do niej: Lupa.

*

Z Lublina do Poleskiego Parku Narodowego dotarłam wieczorem. Zmierzch kondensował niewiadome: nie miałam pewności, czy wokół twardnieje miazdzyca, czy ruch oporu wobec niej. Zaparkowałam Lupę w osadzie Wujek, zakamuflowanej wśród

sosen i nabrzmiątych paproci, które po wściekle upalnym dniu parowały azjatyckimi sterydami – przy stodole stryjka Januszka. Na mój widok odłożył siekierkę i wykonał ruch jakby chciał sięgnąć po kij; potknął się o zardzewiałą maczetę, odzyskał równowagę i rozpogodził czoło. Wreszcie otworzył ramiona: w tej samej chwili, gdy ciocia Bolesława stanęła w odrzwiach z dymiącą misą.

– Podejź tu z Bogiem, słonko! – powitała mnie dźwięcznie, odsuwając z progu drewnianą piłę.

– A można by... – mruknęłam pod wąsem – mimo Boga?

– Czemu nie – zastrygł uszami stary, który mimo siódmego krzyżyka miał ciągle słuch nietoperza – Różne warianty wchodzą w grę...

Po kolacji oznajmiłam, że idę na spacer. „Musowo!” – przyklasnęła ciotka – „Trza spalić te pekińskie pyry. Ileż to kalorii! No, masz tu na drogę zsiadłego mleka” – wręczyła mi oszronioną manierkę. „Tylko uważaj, bo w lesie ćma” – dodał stryj, wciskając wiekową latarkę. „Jeszcze z podziemia. Najlepsza!” – zapasowe baterie owinął w onucę moro.

Ostępy wciągały jak moczar albo matnia, a może jak labirynt pełen świetlistych obietnic. I rzeczywiście: niebo, niemal całkiem zwęglone, jaśniało jednak od spodu zagadkową łuną, tuż nad pióropuszcami świerków rozbujanych jak palmy, które w Warszawie skolonizowały rondo de Gaulle’a. W bajorach, wysychających po obu stronach ścieżki, ślepe żółwie błotne zgrzytały zębami. Wśród łatwopalnej ściółki mignął zaskroniec, pełen żmijowej złości na dławiacą parnotę. Spocona jak mysz przedzierałam się przez zasieki patologicznie przerośniętych widłaków. Mimo latarki zgubiłam drogę – nagle wszelako w tej dookolnej ćmie rozbłyśło sowie oko. Poczułam na policzku muśnięcie ostrego skrzydła, a w uchu świdrujący szept: „Spokój. Pamiętaj. Tędy”

Zdyszana wymotałam się z chaszczy. Otarłam czoło i wzięłam tyk z manierki; wysokoprocentowe mleko rozjaśniło mi w głowie. Przede mną kluczyła żwirowata steczka. Jej nikły, lecz wyraźny blask, przyjaźnie popielaty, wyświeślał z mroku drogowskaz: STARE ZAŁUCZE. Rażno skręciłam w lewo – i po kilkunastu minutach dotarłam do celu.

W drżącym świetle latarki rozchwiejutana chatka wyglądała tak, jakby już miała się przewrócić. A przecież wciąż trzymała pion. Może konserwowała ją duchota? Noc

była tak smolista, że kosa, raz ustawiona na sztorc w tym powietrzu, mogłaby stać do upadłego – i nie straciłaby erekcji. Wycelowałam latarkę w zamknięte drzwi; tuż przy futrynie czerwieniła się ciemno, niczym na nowo otwarta blizna, emaliowana tabliczka z napisem: PUNKT BIBLIOTECZNY, przekreślonym czarnym markerem i zmasakrowanym przez kulfony obwieszające wyrok: NIECZYNNY.

*

Niezrażona, zastukałam do drzwi. W tej samej chwili, jakby na komendę, buchnął halny. Gorący niczym wyziew pieca, zabełtał mi w głowie i w jednej sekundzie pojąłam, czemu w czasie upałów kmiecie pospołu z profesorami wariują solidarnie. Podmuch przyniósł lawinę: w gęstym powietrzu przeleciał kij bejsbolowy, a zaraz po nim zardzewiała kotwica, zespawana ze spleśniałą konserwą. Szybciej od nich śmignęła żółtawa struga: refluks czy plwociny? Miał głowić się nad odpowiedzią, zrobiłam odruchowy unik – a żeby nie stracić równowagi, wsparłam otwartą dłoń na drewnianych drzwiach chatki. Wówczas okiem ducha ujrzałam kurzą nóżkę, wrośniętą głębino w gmatwaninę korzeni. Jednocześnie skrzypnęły wieżeje i z wnętrza starej biblioteki wysunęła się bosa dziewczęca stópka. Chwilę później drobna, lecz silna dłoń ujęła mnie za nadgarstek – i wciągnęła do środka.

– Uff... – westchnęłam z ulgą, czując zarazem na ustach pełen obietnic dotyk znajomych warg. – Już myślałam, że z tym halniakiem odleczę.

– Nie lękaj się – szepnęła Zośka – tu jesteśmy bezpieczne.

Wewnątrz było zacisznie; panował też kojący chłód, który przywracał jasność myślom mimo szarawego półmroku skumulowanego w izbie. Źródłem jasności musiała być książka. Spoczywała cicho na granitowej płycie, ułożonej poziomo na drewnianym koźle, a jej miękka popielata okładka wołała niemo: KANT.

– Nie poległ w Katyniu ani w Smoleńsku... – zaczęła wyliczać gospodyni.

– Rozwalili go na Sołowkach? – wtrąciłam z głupia frant.

– Durna! W Palmirach też nie – mrugnęła porozumiewawczo – A przecież jest wyklęty. Tak... To prawdziwy bohater – z powagą w oczach ugryzła mnie w ucho, lekko i pieszczotliwie. – Słuchaj, on prawi tak: człowiek naprawdę odważny i rozumny zdoła stawić czoła żywiołom zagrażającym jego wolności i przytomności, ale tylko wtedy, gdy

znajdzie enklawę do spokojnego namysłu. Nasza wyobraźnia potrzebuje bezpiecznego miejsca, żeby zachować swobodę sądu. Łapiesz?

Nim potwierdziłam, że łapię, chwytając wargę Zośki w zęby, rozległ się głośny trzask; kto wie, czy nie wystrzał – i odskoczyliśmy od siebie przerażone.

*

Strach miewa wielkie oczy, ale nie zawsze oślepia. Już po sekundzie ujrzałyśmy, że nikt do nas nie strzela – to tylko pękła listwa w tajnym przejściu, którym do biblioteki przeniknęła Lucyna.

– Nie pękać – zarządziła zdyszana – Myśleć!

– Ale konkretnie o czym? – zahaczyła przytomnie Zośka.

Wówczas Lucynie zrobiło się słabo; zbladła, zachwiała się i oparła o granitowy blat. Dostaliśmy do niej, ja zaś chwyciłam Kanta i jęłam nim ją wachlować.

– Tak duszno tam? – wskazałam mrok za oknem – Taka demencja?

– To też... – wykrztusiła z trudem – Ale najgorszy jest natłok tego wszystkiego.

Masa: bezrefleksyjna i bezkrytyczna. Trzeba przemyśleć problem masy.

– Koleżanka pogardza ludem? – w Zośce zbudziła się czujność.

– Tu nie ma ludu, jest *populus*. A ja go, owszem, uznaję – Lucyna odzyskała ikrę, z oczu jej poszły iskry – uznaję za wielkie zagrożenie. Miażdżycy mas może zdusić każdą wolną myśl, każde twórcze działanie.

– Ale to przecież biedni ludzie – zareagowałam odruchowo tak, jak mnie uczono na lewicowych katechezach – Pokrzywdzeni, wykluczeni...

– Bajdy! – siwe oko Lucyny cisnęło polemiczny piorun – *Populus* nie rekrutuje się wyłącznie z wykluczonych. Tu nie chodzi o pochodzenie, status klasowy czy poziom formalnego wykształcenia.

– To o co? – przydusiła ją Zośka – Gadaj, bo epoka nas nagli!

– Miażdżycowa masa to ponadklasowa wspólnota mentalna. Zasilają ją biedni i bogaci. Chłopi i mieszczenie. Robotnicy, przedsiębiorcy i biurokraci. Licealiści, studenci, doktoranci, a nawet profesura. Jednoczy ich agresywna pasywność: przyzwolenie, by inni myśleli i działali za nich. Inni, czyli elita, równie agresywna jak *populus*, ale aktywniej od niego wytwarzająca demencyjne wzorce myślenia i działania. W takim układzie

populistyczną masę tworzą ci, co bezkrytycznie akceptują formaty produkowane przez „liderów opinii”, rekrutowanych z reakcyjnych podżegaczy.

– Z tego wynika – oświeciło Zośkę, a w jej oczach błysnęła nieładna satysfakcja – że elity są złe.

– Mogą wywierać zły wpływ – przyznała Lucyna – Ale głównie wtedy, gdy kultywują bezkrytycyzm. Elita zdolna do prześwietlania samej siebie, do krytyki wytwarzanych przez siebie wzorców, może wywierać wpływ dobroczynny.

– Może być awangardą społeczną – przyszło mi nagle do głowy.

– Otóż to! – Lucynie z radości roześmiały się oczy – I wiecie, co? My, tutaj, w mikroskali – zlustrowała nas przyjaźnie – odbudujemy elitę.

– A czy nie lepiej – usiłowałam dociekać – wykształcić ją na nowo?

*

Zamiast odpowiedzi rozległo się ciche, ale nagłące stukanie w szybę. Skierowałam latarkę w okno; snop światła wyświetlił z ogrodowej ciemnicy Piotra. Skoczyliśmy, by wpuścić go do środka. Jednym susem przesadził parapet, odepchnął nasze ramiona i z płonącymi jagodami podbiegł ku granitowej płycie. Pochylił się, objął ją miłośnie i przymknąwszy powieki przylgnął policzkiem do kamienia.

– Rany, ale ulga – westchnął.

– Gorąc? – Lucyna podeszła doń ze współczuciem, wskazując kciukiem smotę nocy bulgoczącej za oknem.

– Nie tylko... – Piotrek wyprostował się i schłodzonymi przez granit dłońmi jął rozdawać mobilizujące uściski. – Nieznośna jest ta płynność wszystkiego tam... To przelewanie się z pustego w próżne.

– Ale właściwie co w tym złego? – wzruszyła ramionami Zośka.

– Nic – spod nieczynnego pieca dobiegł nas kontralt Lucyny – To chyba nawet dobrze, że wszystko, co zakrzepłe ulatnia się jak dym z komina...

– Bzdura! – zaprotestował Piotr – W Polsce to się nie ulotniło. Przeciwnie, tu krzepnie zamordyzm. Rozprasza się natomiast pragnienie wolnościowe. Energia twórczego myślenia i działania wyparowuje w autorytarnej gorączce. Dlatego potąd mam już gładzenia o płynności. Po dziurki w nosie, rozumiecie? Płynność nie będzie lekiem na faszystowską zakrzepicę – w jego głosie dźwięczała kipiąca hartem stal. –

Potrzebna nam nowa koncentracja: samowiedzy, determinacji do działania – oparł dłoń o granitową płytę. – I jeszcze jedno wam powiem. Tutaj i teraz musimy skryształizować nasze pryncypia... – oczy zaślniły mu jak szmaragdy, gdy twardym wejrzeniem ogarniał naszą enklawę – Tak jest: skryształizować. I czerpać radość z kryształizacji.

Zauroczona tym pryncypializmem, zbliżyłam się do Piotra. Miał kruche, niemal dziewczęce palce; spomiędzy nich przebłyskiwała granitowa głębia: ciemnoszara, ale kusząca jaśniejącymi skupiskami, które mrugały do mnie jak mikroskopijne, lecz bezcenne klejnoty.

– Widzisz? – spytał z uśmiechem.

– Ale co?

– Patrz. Wolność i solidarność. Rozkosz i rozwaga. Eksperyment i przyzwoitość...

*

Z zapatrzenia wyrwał nas cichy jęk, brzmiący jak zaproszenie do gry wstępnej – w chatce niepostrzeżenie zjawiała się Ewa.

– Macie rację. Rozkoszowanie się pryncypializmem to ekscytująca idea. Ale uwaga! – westchnęła zarazem zalotnie i ostrzegawczo – Nie wystarczy napawać się pryncypiami w ezoterycznych enklawach. Skryształizowane zasady myślenia i działania trzeba komunikować poza naszymi małymi edenami.

– Ale jak?! – spytali chórem Zośka, Lucyna i Piotr.

– Dobre pytanie – w kąciku malinowych warg Ewy pełgał chytry uśmieszek.

Szybkim ruchem rozpięła swą oliwkową bomberkę: między pomarańczową podpinką a posągowym biustem czaiła się wysłużona księga. Była niemalże kieszonkowa; w sam raz, by skryć ją za pazuchą; musiała mieć jednak poważny ciężar gatunkowy, a jej *gravitas* – słuszną wagę, skoro pod naciskiem foliału położonego na granitowej płycie, płyta owa zdrzątała: z wrażenia? Z lubości? Miał odpowiedzi starczyło jedno słowo, wytłoczone na szarym płótnie: HEGEL.

– Padł pod Lenino... – dowcipas Zośki rozproszył nam uwagę.

– Skup się, głupia – szturchnęłam ją łokciem w żebro.

– Może i padł, lecz pamięć o nim wciąż może nas ożywiać – rzekła sentencjonalnie Ewa, po czym ciągnęła niezdetonowana: – U Hegla znalazłam pojęcie „epickiego stanu świata”. Jest to taki moment historyczny, w którym dotychczasowy ład ulega rozpadowi, a nowy porządek jeszcze się nie wykrystalizował. Moim zdaniem to daje do myślenia...

– Sugerujesz, że Polacy dziś żyją w „epickim” stanie ducha? – spytałam.

– Dokładnie – wskazujący palec Ewy celował mi w samo serce. – I w tym kontekście powstaje pytanie...

– Czy komunikować się z rodakami za pomocą eposów? – olśniło Zośkę.

– Właśnie – klasnęła w dłonie Ewka – Ale moja odpowiedź brzmi: nie. „Epicki” stan świadomości oznacza dominację subiektywnych emocji. Nam zaś potrzeba obiektywizacji. Musimy precyzyjnie, na chłodno, opisać prawa, jakie powinny obowiązywać w nowym świecie. Do tego posłużyć może to, co Hegel nazywa „prozą”. Chodzi o taki typ opisu, który neguje dyktat namiętności, wyklucza oszołomstwo. Inwestuje natomiast w przytomną precyzję, w rozumną metodyczność.

– Polska potrzebuje więc „prozy” – przytaknęła Lucyna.

– Owszem, chociaż nie tylko – ciągnęła Ewa – Polacy nade wszystko potrzebują dziś „prozatorskich” instytucji: systematycznie projektujących nowe realia, współtworzących nowe topografie poznawcze, estetyczne i polityczne.

– Słowem: trzeba tu armii urzędników – w głosie Zośki zabrzmiało zniechęcenie.

– Niekoniecznie. Równie ważne będą oddolnie formujące się zespoły, złożone z niewielkich grup aktywistów. O wyniku wojny nie zawsze przesądzą dywizje. Czasem wystarczy jedna pięść. Choćby taka jak nasza: jest nas pięcioro i nie potrzebujemy Pentagonu. Wystarczy nam ta chatka w Starym Załuczu: to całkiem zacny sztab. Patrzcie, za oknem coś już świta, a w ciągu ostatnich pięciu godzin sprecyzowaliśmy pięć kluczowych kwestii.

– Po pierwsze, bezpieczne miejsce: enklawa do namysłu – przypomniała Zofia.

– Po drugie, twórczy namysł jako powinność nowej elity – dodała Lucyna.

– Po trzecie, awangardowa elita tworząca sztab, w którym krystalizują się najważniejsze pryncypia. W kontrze do faszystowskich skrzepów. A z drugiej strony: na

przekór jałowej płynności, rozwadniającej pożądane sensory, demobilizującej gotowość do politycznej akcji – uzupełnił Piotr.

– Po czwarte, pryncypializm. Skodyfikowany przez oddolnie wykształconą awangardę, powinien on inspirować akcję upowszechniania wiodących zasad w szerszym otoczeniu społecznym. Przewodnikami tego procesu powinny stać się przodujące instytucje: skryształizowane najpierw w pojedynczych, amatorskich enklawach, następnie zaś tworzące struktury coraz bardziej rozbudowanych zagęszczeń, złożonych ze stopniowo profesjonalizujących się rozgałęzień – sprecyzowała Zośka.

– W związku z tym wszystkim powstaje kwestia piąta – zauważyłam.
– Komunikacja między enklawami-sztabami. Musimy nawiązać jakiś kontakt...

– Ale gdzie? – spytali chórem sztabowcy – Z kim?

– Ponoć w Lublinie jest grupa – przypomniałam sobie nagle – spontanicznie tworząca nowe CBA. Centralne Biuro Antyfaszystowskie.

– Idioci? – Zośkę aż wykrzywiło.

– Agenci? – parsknęła Lucyna.

– Oszolomy – podejrzewał Piotr.

– Ludzie, okiełznajmy nieufność – napomniała nas Ewa – Może to są pionierzy?

– Właśnie – przytaknęłam – Dlatego proponuję uderzyć na Lublin.

– Busem?! – bojowość naszej pięści gwałtownie zmalęła.

– Nikt nie mówi o busie, łajzy – wycedziłam. – Przejdziemy lasem do mojego stryja. Tam mam garbusa. Skompresujemy się w piątkę i damy radę. To co, odjazd?

Autor

Tomasz Kozak – artysta spekulatywny. Zajmuje się krytyką nowoczesnych wyobrażeń społecznych oraz problematyką późnej polskości. Autor książek *Wytepić te wszystkie bestie?* (2010), *Akteon. Pornografia późnej polskości* (2012), *Poroseidy. Fenomenologia Kultury Trawersującej* (2017).

